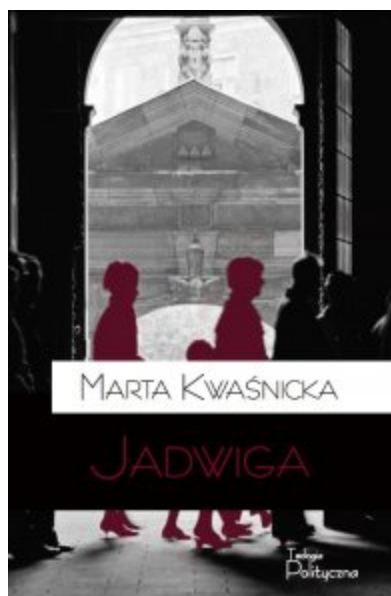


Marta Kwaśnicka: Skałka [Jadwiga]

Do Tyńca i Skałki tęsknię zawsze, kiedy wyjeżdżam z Krakowa. Do
kojącej, skałecznej ciszy i do tynieckiej otchłani



Do Tyńca i Skałki tęsknię zawsze, kiedy wyjeżdżam z Krakowa. Do
kojącej, skałecznej ciszy i do tynieckiej otchłani - przeczytaj fragment
książki "Jadwiga" Marty Kwaśnickiej



Zapada zmierzch. Kolory nabierają soczystości, ale zaraz zblękitnieją i pogrążą się w mroku. Stoję przy sadzawce Świętego Stanisława, przy Kropielnicy Polski, naszej Siloe, gdzie miało się zrosnąć ciało zamordowanego Biskupa. Woda pachnie siarczanami. Ponoć ma właściwości zdrowotne. Kiedyś, kiedy nie było tu jeszcze kościoła, źródło było podobno niewielkim jeziorem. Pewnie ogrodzono je drewnianą cembrowiną lub zrobiono pomost, aby czerpać stąd wodę i odprawiać gusła. Potem ujęto je w elegancką obudowę, ozdobiono barokowymi tralkami, ale nadal bije.

Otacza mnie miękki kokon murów. Jest letni wieczór. Słyszeć tylko szemranie wody i ostatnie ptaki w przyklasztornym ogrodzie. Za chwilę zapadnie cisza, bo paulini wyłączą fontannę na noc, ptaki umilkną, kiedy umoszczą się wreszcie na gałęziach, a słońce zajdzie. Ale to za

chwile. Najpierw zakrystian w białym habicie zamknie kościół, wysoko, ponad moją głowę, i dzwoniąc kluczami, zejdzie po schodach do ogrodu. Wtedy będę musiała sobie pójść. Ale jeszcze chwila.

Za mną krypta z prochami Długosza, Wyspiańskiego, Malczewskiego, Miłosza i innych. Są tutaj, wiem o tym. W końcu na to rodzimy się Słowianami, żeby się nawzajem wyczuwać w powietrzu, żeby szukać swojej obecności, zwłaszcza w takich miejscach jak to, nad sadzawką Biskupa. I jest tutaj także krew Stanisława ze Szczepanowa. Kamień, na który trysnęła, nadal jest przechowywany w ścianie przy jednym z bocznych ołtarzy. Ta krew ciągle tu jest.

Nie wiemy dokładnie, o co chodziło. Nie wiemy, kto zawinił. Gall Anonim, najbliższy wydarzeniom, wskazuje na obu, Kadłubek – na króla. Tradycja podpowiada nam jednak, że zawinił władca i że jego wina wciąż nie została odpokutowana – a tradycji należy słuchać, bo ona nigdy nie jest stronnicza; to raczej wielowiekowy osąd, efekt długotrwałego trawienia danego problemu przez całą historyczną wspólnotę. Tradycja często ma rację wbrew lakonicznym lub baśniowym zapiskom skrybów, którzy miewają własne interesy lub znajdują się zbyt blisko wydarzeń, aby je odpowiednio osądzić. Historia jest najpiękniejsza wówczas, gdy stwierdza swoją bezsilność, gdy milknie i rozkłada ręce nad dokumentami, aby ktoś inny mógł mówić dalej; gdy budzi się pamięć pokoleń, narodowa podświadomość.

Właśnie z tego punktu widzenia tak ważna jest sprawa Stanisława, bo w jej przypadku nie wiemy prawie nic. Przybliżamy się jedynie do tej tajemnicy, aby stwierdzić, że fakty, które zdołaliśmy ustalić, nijak mają się do ich dziejowego znaczenia. Nie wiemy zatem, dlaczego Biskup

zginął ani jak dokładnie to się stało (analiza czaszki, wykonana tysiąc lat później, wskazuje na uderzenie tępym narzędziem, ale czy taka analiza może być wiarygodna? Czy to na pewno ta czaszka?). Nie wiemy też, gdzie spoczęło ciało zabójcy, Bolesława, i czy naprawdę był winny. Wyspiański, który szedł po śladach Słowackiego, uważał, że był to pojedynek dwóch mocarzy ducha i że król go przegrał, bo zbyt był żądny sławy i mocy. Są tacy, którzy szukali grobu monarchy za granicą (ponoć znajduje się w klasztorze Ossiach w Karyntii), inni uważają, że ostatecznie pochowano go w Tyńcu, gdzie trumnę z jego ciałem przygarnęli polscy benedyktyni, dla których rzeczywiście był szczodry. Chciałabym w to wierzyć, bo jeśli nie liczyć Wawelu, Tyniec i Skalka to dla mnie dwa najważniejsze kościoły dzisiejszego Krakowa. Wyrastają z przeszłości jak lichtarze, pokryte obficie woskiem dawnych świec. Tego wosku nikt nigdy nie usuwał, przykrył zatem tyle faktów i nazwisk, że chodzi się wśród nich w onieśmieleniu, jakby pomiędzy epokami, poza historią. Niech i ja ich dotknę, niech ten wosk przykryje i mnie

Do Tyńca i Skalki tęsknię zawsze, kiedy wyjeżdżam z Krakowa. Do kojącej, skałecznej ciszy i do tynieckiej otchłani – bo kiedy zimową nocą spojrzę się z murów opactwa na dolinę Wisły, to nie widać nic, nawet Piekar, które są po drugiej stronie rzeki, jedynie czern. Jeżeli mam odwagę spoglądać we własne ciemności (które przecież ma każdy, ale nie każdy ma ochotę się z nimi mierzyć – i odwagi brakuje także mnie; bardzo chciałabym być odważna jak Jadwiga, która zawsze po prostu spełniała swoją powinność) – a zatem, jeśli biorę się za bary z ciemnością, to właśnie wtedy, kiedy czuję za sobą stare mury jednej z tych świątyń. Wybaczam zakonnikom wszystko, nawet kiczowaty skałeczny Ołtarz Trzech Tysiącleci czy przesadnie miękkie tenory tynieckich braci-kantorów. (Uwielbiam natomiast głęboki baryton tynieckiego zakrystiana. To brat w średnim wieku, o szerokim żołnierskim kroku i wyglądzie przywodzącym na myśl księdza Robaka.

Ale trzeba mieć szczęście, aby go usłyszeć, bo rzadko śpiewa solo, zwykle tylko posługuje do mszy w zupełnym milczeniu, wchodzi jak cień bocznym wejściem z komunikantami i równie szybko znika. Tylko przed tabernakulum w bocznej kaplicy nabiera na chwilę materialności, klęka zamasyście, niemal z przytupem, jakby salutował, a potem znów rozplywa się w powietrzu). Kiedy pomyślę, że pomiędzy tymi dwoma klasztorami, pomiędzy białymi habitami paulinów a czarnymi płaszczami benedyktynów, rozgrywa się wieczność Stanisława i Bolesława, czuję, że tak właśnie być powinno. Mam nadzieję, że król – dzięki jakiemuś nadzwyczajnemu splotowi okoliczności – rzeczywiście spoczął w Tyńcu.

W sprawie Stanisława wiemy tylko, że historia Polski została przetrącona już u zarania, że była tu jakaś Kainowa wina, której wciąż, po tysiącu lat, wystarczająco nie odpokutowano. Święty Stanisław od dawna pochowany jest na Wawelu, jak wszyscy, których racje przeważają, nawet jeśli czasem nie do końca rozumiemy dlaczego. Jego grób od XIV wieku jest *Ara Patriae*, ołtarzem ojczyzny. Znoszono tam wota, sztandary zdobyte w wojnach. Pierwszy zrobił to Łokietek po bitwie pod Płowcami. Odtąd katedra jest także świątynią trofealną Polski. Stanisława wyniesiono na ołtarze w 1253 roku, więc kiedy do Krakowa przybyła Jadwiga, od ponad stu lat był już święty i jego grób otaczało wielkie nabożeństwo. Kult Biskupa był jednym z głównych powodów, dla których Łokietek w ogóle zdecydował się przenieść tradycyjne miejsce koronacji królów z Gniezna na Wawel. Od 1320 roku polskich władców namaszczano przy Stanisławie.

Kamień, na którym zabito Biskupa, bo żaden anioł nie zatrzymał tu niczyjej ręki, nadal spoczywa na Skałce. Nie wiemy, czy to na pewno ten kamień. Nie wiemy, czy to na pewno te plamy. Ale to właśnie one

nieprzerwanie otaczane są czcią. Symboliczne znaczenie krwi dawno bowiem przerosło sam fakt jej wylania.

Skałka. Tutaj się pokutuje, tu odprawia się przebłaganie. Możemy przypuszczać, że Jadwiga wyruszyła z Wawelu w procesji biskupów i duchownych z krakowskich kościołów, jak to zwykle czyniono. Zgrzytały łańcuszki kadzideł, powietrze pachniało paloną żywicą, może spopielając korą lub liśćmi wawrzynu. Biły dzwony. Niesiono także, jak zwykle w takich okolicznościach, relikwiarz z głową świętego Stanisława. Szaty duchownych zapewne łopotały na wietrze, przy drodze zaś na pewno gromadziła się gawiedź, bo mieszkańcy podwawelskich miast (Krakowa i Kazimierza, może byli też gapie z Kleparza) chcieli zobaczyć z bliska nowego monarchę. Tym razem chodziło w dodatku o młodą kobietę, a to zawsze wzbudza zainteresowanie.

Po zejściu z Wawelu procesja szła główną ulicą przez Stradom, wówczas przedmieście pomiędzy dwoma miastami, Krakowem i Kazimierzem. Ulica istnieje nadal. W ciągu wieków otoczono ją budynkami, wystawiono tu między innymi wspaniałą świątynię ojców misjonarzy według projektu Kacpra Bażanki, której fasada wtapia się teraz w linię młodszych kamienic. Procesje na Skałkę nadal przechodzą podobnym szlakiem. Tam, gdzie dzisiaj biegnie ulica Dietla ze swoim charakterystycznym pasem zieleni pomiędzy dwiema jezdniami, kiedyś płynęła Wisła. Aleja powstała dopiero pod koniec XIX wieku na miejscu zasypanego starorzecza. Trzeba było coś z nim zrobić, bo było zamulone i podmokłe, a mieszkańcy Stradomia i Kazimierza odprowadzali do dawnego koryta swoje nieczystości. Stara Wisła, zalewana fekaliami, przyczyniła się do kilku XIX-wiecznych epidemii cholery. Zasypano ją zatem i zrobiono tam reprezentacyjną ulicę, z

kolejnym pierścieniem plant na środku. Ale w XIV wieku to tędy szło główne koryto Wisły – aż do wieku XVII, kiedy wody rzeki skierowano tam, gdzie płyną dzisiaj.

Kazimierz i Kraków były ze sobą połączone Mostem Królewskim, który znajdował się na dzisiejszym skrzyżowaniu ulic Stradom, Dietla i Krakowskiej. Nawiasem mówiąc, ulica Krakowska nazywa się tak dlatego, że stanowiła część Kazimierza, a zatem innego miasta. To przecież rzadkość, żeby w centrum polskiego miasta znajdowała się ulica o nazwie pochodzącej od ośrodka, w którym leży. Polskie ulice nazywają się najczęściej od tych miejscowości, do których prowadzą. Ulica Krakowska nie jest wyjątkiem. Nazywa się tak od początku swojego istnienia i kiedy powstała, robiła właśnie to, co Krakowska powinna robić – prowadziła z Kazimierza do Krakowa

Procesja Jadwigi pokonała most Królewski, a następnie kilkaset metrów ulicy Krakowskiej. Potem skręcono w prawo w ulicę Skałeczną (dawniej Świętego Stanisława), aby zatrzymać się na chwilę w kościele Świętej Katarzyny (wtedy dopiero go budowano, ale w czasie królewskich pielgrzymek pełnił rolę kościoła stacyjnego; było tak w późniejszych czasach, więc może – oczywiście spekuluję tu jak szalona, dajmy się jednak ponieść tym spekulacjom – także za Andegawenki). Po krótkiej przerwie procesja poszła dalej w kierunku Skałki, czyli – jak opisywał ją Długosz – kościoła poświęconego Archaniołowi Michałowi i innym aniołom, wzniesionego na białej skale. To nadal się zgadza. Świątynia, oczywiście, nie wyglądała wtedy jeszcze tak jak dziś, dzieliło ją bowiem od naszych czasów kilka poważnych przebudów, w tym ta zlecona przez samego Długosza, który sprowadził tu paulinów, żeby opiekowali się sanktuarium, a potem jeszcze XVIII-wieczna, która zostawiła nam Skałkę w kształcie, jaki znamy – barokowym.

Król był zobowiązany uczcić miejsce śmierci patrona Polski i odpokutować morderstwo, miał bowiem zająć tron człowieka, który uśmiercił świętego Stanisława. Miał też upraszać dla siebie łaski za wstawiennictwem Męczennika. Polska uroczystość koronacyjna, w wersji skodyfikowanej przez Oleśnickiego, zaczynała się zawsze w sobotę. Przyszły władca umartwiał się wtedy, pościł i rozdawał jałmużnę. Był także zobowiązany do spowiedzi i pielgrzymki ekspiacyjnej na Skałkę, gdzie musiał wziąć udział w uroczystych modlitwach przy relikwiach Biskupa: dokonać uroczystego zadośćuczynienia w miejscu, gdzie popełniono zbrodnię. Dopiero wówczas, pojednawszy się ze Stanisławem, odsunawszy od siebie polską winę pierwotną, mógł zostać koronowany na króla Polski.

Potem przyszły król wracał na Wawel, gdzie słuchał niesporów (czasami słuchał ich na Skałce). Do kościoła, w którym zamordowano Biskupa, władca szedł pieszo. Mógł też pojechać powozem, a wrócić na własnych nogach – w każdym razie w jedną stronę dystans pomiędzy Krakowem i Kazimierzem musiał pokonać jak zwykły pokutnik. Wiemy, że Batory zajechał pod Skałkę powozem, a wrócił piechotą. August II Mocny przyszedł, ale wrócił kareta. Paulini wznieśli dla niego ozdobny łuk triumfalny. Jan III Sobieski długo leżał krzyżem przed skałecznym ołtarzem.

Jak pielgrzymkę odbyła Jadwiga i czy na pewno to zrobiła, nie wiemy. Są tacy, którzy twierdzą, że tak naprawdę jako pierwszy pokutował Aleksander Jagiellończyk, że wcześniej pielgrzymka była tylko martwą literą, a jeszcze wcześniej źródła w ogóle o niej nie wspominają – co jednak nie znaczy, że na pewno jej nie było. Nie jestem specjalistką, myślę jednak, że nie ma całkowicie przekonujących dowodów ani za

pielgrzymowaniem Jadwigi, ani przeciwko niemu. Święty Stanisław był przecież najważniejszym opiekunem polskiej korony. Jeśli chodzi zaś o dokumenty, to pierwszą regulacją, nakazującą monarsze pokutę przed ołtarzem Stanisława, jest przechowywany w Bibliotece Kapitulnej na Wawelu *Ordo coronandi regis Poloniae*, rękopis wykonany przed koronacją Władysława Warneńczyka. Zbigniew Oleśnicki, osobiście odpowiedzialny za przebieg tej uroczystości, lub osoby z jego otoczenia, tworząc polską ceremonię, wykorzystali w *Ordo* elementy rytuału stosowanego w Czechach, gdzie przyszedł władca zwykł pielgrzymować na Wyszehrad. Krakowianie spolszczyli uroczystość, wprowadzili do niej kult świętego Stanisława, bardzo propagowany przez kardynała Oleśnickiego. Część formuł miał wypowiadać arcybiskup gnieźnieński, część – biskup krakowski, a więc już wówczas zarysowała się ta charakterystyczna dwuwładza prymasa i kardynała z Krakowa. Gospodarz Wawelu stawał się głównym asystentem uroczystości, wprowadzał pretendenta do katedry, w teatrze liturgii koronacyjnej wypowiadał coraz więcej kwestii, był chórem w dramacie, który rozgrywał się pomiędzy pomazańcem, prymasem i ludem.

W XIV wieku polskich królów zapewne koronowano trochę inaczej. W *Ordo* Warneńczyka zachowały się ślady starszych obrzędów – napiszę o nich później. Historycy, pochyleni bezradnie nad lakonicznymi średniowiecznymi wzmiankami, nie są nawet pewni, czy sam Warneńczyk był już koronowany według nowej wersji pontyfikału, stworzonej przecież specjalnie dla niego. Strzępy informacji, które dotarły do naszych czasów, nie pozwalają na żadne jednoznaczne rozstrzygnięcia. Mogę zatem jedynie snuć przypuszczenia i nie tyle odtwarzać historię, ile tworzyć mit. Pierwsza pielgrzymka mogłaby odbyć się – to nie zostało potwierdzone, ale nie zostało również nigdy wykluczone – podczas koronacji Łokietka. To dzięki niemu rozdrobnione ciało Polski zrosło się cudownie, tak jak kiedyś szczątki

świętego Stanisława. Legenda o posiekaniu ciała Biskupa i jego cudownym spojeniu była pokrzepieniem dla XIII-wiecznych wiernych, oczekujących odbudowy Polski – od średniowiecza byliśmy bowiem rozmiłowani w mistyce symboli. Taka pielgrzymka byłaby zatem godnym zadośćuczynieniem duchownemu, którego pośmiertne losy stanowiły prefigurację dziejów całego kraju. Gdyby pielgrzymował Łokietek, wtedy musiałyby to zrobić także Jadwiga. Wiemy na pewno, że od czasów Aleksandra pokutowali w ten sposób wszyscy władcy – poza Leszczyńskim, królem – efemerydą, który szybko przeleciał przez nasz monarszy nieboskłon i zniknął we Francji. Poniatowski, którego również, jak Leszczyńskiego, koronowano w Warszawie, przed przyjęciem korony udał się do ołtarza świętego Stanisława w kościele Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Ale nawet on odbył ostatecznie pielgrzymkę na Skałkę. Zrobił to w 1787 roku, wiele lat po swojej koronacji, ponieważ wcześniej nie miał okazji być w Krakowie.

Na tym polegała polska Canossa i na tym polega dzisiaj, bo arcybiskup Wojtyła – kolejny wielki krakowski metropolita, propagujący kult Stanisława – odnowił i uświetnił starą Stanisławowską procesję, która od wieków 8 maja (w rocznicę XIII-wiecznej kanonizacji świętego) lub jakiś dogodny dzień znajdujący się blisko tej daty chodzi królewskim szlakiem. Nadał jej wszystkie cechy dawnej królewskiej ekspiacji. To się w Krakowie wszystko ze sobą zapętla, my tu jesteśmy jak spętani, poruszamy się na nitkach dawnych rozwiązań, chodzimy dawnymi ścieżkami, czujemy dawne emocje i jeżeli chcemy, możemy im się poddawać. Miasto wciąga nas i nie chce wypuścić, otula jak kwoka, chowa pod skrzydłami. Nie, Kraków to nie jest czcigodna mumia, a my nie jesteśmy turystami w muzeum. Zaludniamy święte miejsce, możemy żyć według jego poruszeń, stawać się jego strażnikami, kapłanami – jeśli oczywiście chcemy nimi zostać, bo to zawsze kwestia wyboru.

Zapada zmierzch, kolory nabierają soczystości, ale zaraz zblękitnieją i pogrążą się w mroku. Kraków zaczyna szeptać. To miasto mówi. Mało jest takich miejsc jak świątynia pod wezwaniem Archanioła Michała i Świętego Stanisława, gdzie wszystko się na siebie nakłada, gdzie się zbiega, jak wodze, które przechodząc przez niezliczone sploty uprzęży, trafiają w końcu do jednej dłoni. *Pragnę opisać Kościół – mój Kościół, który rodzi się wraz ze mną, lecz ze mną nie umiera.* Stoję przy sadzawce Świętego Stanisława, mury Skałki jak bandaż na mojej głowie. Skałeczny zakrystian, chudy, o dobrodusznej twarzy, zamyka kościół, podchodzi do kamiennej balustrady, spogląda w dół. Ptaki ucichły, zapadła noc. Kropielnica milczy. Cisza niemal krzykiem wdarła się w jej monotony chlupot. Za mną krypta. Jeśli nie świętych obcowanie, cóż innego mi zostaje? Czas iść, byle po trawie, by nie przerywać tej ciszy.

Marta Kwaśnicka

Fragment pochodzi z książki "Jadwiga"

